№ 1.
WARSZAWA.
4 Stycznia
1863.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1257.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

POWITANIE NA NOWY ROK.

Witajcie bracia! Witaj Polska ziemio! Ożyj karmicielko nasza siłą potężną, wydaj nam z łona twego zboża, owoce; żródź nam chleb powszedni. Nakarmij nas! Ojczyzno nasza droga, namaść nas olejem sakramentalnym na nową drogę życia, na nowe trudy, prace, znoje, ach i na gody, boć godzi się nam, jako bożym stworzeniom i godów zażyć, bo godzi się nam doznać rozkoszy i szczęścia na padole ziemskim we własnej krainie.

Więc do godów posuwaj się bracie chłopie i obejmij panka za szyję, a ty bracie szlachcicu uściśnij prostaka, i już na wieki z nim się nie rozłączaj. Boć ty i on... to z ciała piasek ziemski, a z duszy, jednakieście dzieci boże.

Razem bądźcie panowie i kmiecie, mieszczanie i żydzi, to będziecie jak ów płot, co go wół nie przełamie, a wieprz go nie podkopie. Bez jedności zaś bedziecie jako rozrzucony chrust leśny, co go byle bydle nogami stratuje.

Razem więc, a tyle jest do roboty... Wsi tyle nieoczynszowanych, tyle jeszcze szkół nie założonych. Tyle jeszcze waśni wzajemnej, taki brak ludzi piśmiennych. Tyle jeszcze marnuje się czasu na karty, na wino i na gorzałkę, a nie daje się na szkoły ani pieniędzy, ani czasu. Ciemniejsi niedbają, oświeceńsi bez wyrzutu sumienia pieniądze i czas oddają na próżne a głupie rozrywki. Głupiutkie dzieci!.. A z głupiemi bardzo źle. Oni żaby łapią, zamiast ryby łowić; oni pożar szerzą, zamiast światło palić; oni piekłu służą, zamiast Bogu i ojczyźnie służyć.

Ach, kiedyż będzie inaczej? kiedy rzetelny głos kapłanów powie nam z ambon, żeśmy się przecie zmądrzyli mądrością bożą, żeśmy poznali i ukochali Boga na niebie, a braci na ziemi.

Kiedyż pozbędziemy się tego jałowego gadania o dobrych uczynkach, a będziemy za to w rzeczy sprawować uczynki i czyny...

Kiedyż to zaczniemy widzieć w każdym rodaku, czy to rzemieślnik, czy chłop, szlachcic, czy mieszczanin lub żyd *rodzonego* brata swego, kiedyż go ukochamy jak siebie samego, wesprzemy go, poradzimy mu, przyciśniemy go aż do duszy żywej...

Kiedyż przestaniemy nadewszystko w kraju dbać tylko o majętność?

Ach, może teraz...

Może z tym nowym rokiem, rozwinie się nowa doba szczęścia polskiego. Może nie jeden starzec, co łzy wypłakał nad smutną dolą narodu, i po zwątpieniu widząc w kraju miłość bratnią, zawoła do Boga: „Panie, weź mnie już do siebie, bo oczy moje widziały zbawienie.“

Może z tem błogiem nowem latem pańskiem, obręcze na beczkach od wina, i na okseftach od gorzałki popękają na słońcu, może karczmy uzacnią się, i zamienią na domy gospód. Może grosz oszczędzony każdy dorzuci na książki dla ubogich, i nie będzie miasteczka w kraju, ani wioski bez nauczyciela. Może się wszystkie wsie oczynszują, a kmiecie staną się obywatelami. Może między obywatelami jednej ziemi, *naprawdę* jednośó wyrośnie. O bodaj to, bodajby to z tem błogiem latem spotkała naszą ziemię taka rozkosz, radość, szczęście...

O Boże ojców naszych, pomóż nam!

Tedy witajże każdy bracie!.. Ożyj ziemio polska życiem wszechstronnem. Idźmy z Bogiem do nowej pracy, a podjętej nie rzucajmy. Poprawmy się z grzechów śmiertelnych i powszednich, bądźmi słowni, a wytrwali, a miłujący!.. Zarabiajmy na szczęśliwe dnie, przebaczeniem, poświęceniem i miłością.

Do pracy, do pracy więc!.. złączcie się ludzie, zwiążcie się, skujcie się w jedność!— silna wiara i silna wola niech was opaszą.

TRYUMF KRÓLA SOBIESKIEGO
POD WIEDNIEM.
I.

Wrażenie jakie ogarnęło kraj nasz cały, z powodu zwycięztwa świetnego pod Chocimem (1) nad Turkami, tak było niezmierne, że nawet żałoba po królu Michale Korybucie Wiśniowieckim, który umarł na dzień przed owém zwycięztwem, zniknęła wśród świetnych uroczystości i dziękczynień za wybawienie narodu od jarzma bisurmanów. Nikt prawie nie myślał o zmarłym monarsze, Sobieski tylko jeden wszystkich umysły i serca zajmował. Nic więc dziwnego, że bohater z pod Chocima miał teraz otwartą drogę do tronu, gdy ten ogłoszono za opróżniony. Przecież, jakiekolwiek mógł on mieć zamiary co do korony, więcéj kochał ojczyznę, wyżéj cenił jej bezpieczeństwo, jak własne wyniesienie. Nie pospieszył zatem na sejm konwokacyjny (2), który się zebrał w Kwietniu 1674 r. do Warszawy, ale pisał do prymasa i senatorów, aby jak najrychlej przyśpieszyli elekcyję nowego króla. Nie chciał bowiem opuszczać granic Polski, bo wiedział, że nieprzyjaciel Turek ochłonąwszy z przestrachu, a słysząc przytem o śmierci króla, na nowo siły swe zbierać począł.

Gdy na sejmie konwokacyjnym uradzono dzień rozpoczęcia wyboru nowego króla, zaraz ze wszech stron zgłaszać się poczęli kandydaci do tronu polskiego, a można powiedzieć, że może nigdy jeszcze tylu ich nie było. Poseł austryjacki zalecał siostrę cesarza Leopolda, Eleonorę wdowę po królu Michale, a zarazem popierał wybór Karola księcia Lotaryngskiego, bo przez to pragnął zapewnić wpływ dworu austryjackiego na interessa Polski. Poseł francuski zalecał księcia Neuburgskiego, co już po raz drugi ubiegał się o Polską koronę. Oprócz tych, mieli chęć być wybranymi: książe Oranij późniejszy król angielski, Jerzy królewicz Duński, Car Aleksy, książe Sabaudzki, Elektor Brandeburgski i wielu innych, tak dalece, że nie było prawie domu panującego w Europie, któryby niestarał się ująć sobie Polaków dla pozyskania korony. Wielu miał także stronników i Kondeusz Wielki słynny ówczesny wódz francuzki. Chlubnie to było dla naszéj Polski, że tylu miała pretendentów, którzy sobie uważali za zaszczyt w niej panować, ale cóż, kiedy to oni wszyscy byli cudzoziemcy, co nie znali ani naszej mowy, ani naszych obyczajów, ani naszych praw, wielu z nich było nawet innej religij, a co najwięcej, że oni nie kochali, bo i nie mogli jako obcy kochać Polski, a ztąd nie czynili nadziei, że ją prawdziwie uszczęśliwią, że ją zrobią potężną, światłą, zamożną, jaką była za Jagiellonów i za Batorego. To też,

---

(1) Opisane w numerach 48 i 49 Czytelni Niedzielnej z r. z.

(2) Sejm konwokacyjny uchwalał przepisy na czas bezkrólewia i naznaczał dzień rozpoczęcia elekcyi, czyli wyboru nowego króla.

kiedy nadszedł czas elekcyi, długo się ważyły głosy, kogo wybrać na króla. Zdawało się, że i ten był dobry, i ów nie zły, jeden przedstawiał korzystne niby dla kraju warunki, a i drugi obiecywał wiele; słowem zeszło już prawie parę tygodni elekcyi, a jeszcze nie obrano króla.

Mimo nalegań senatu, Sobieski długo wzbraniał się zjechać na elekcyję, aż dopiero w Maju, zabezpieczywszy należycie granice południowe Polski od mogącego nastąpić najazdu Turków i Tatarów, zjawił się w Warszawie. Jeszcze go tu nie widziano po bitwie Chocimskiej, to też stawiano mu bramy tryumfalne po drogach, a cała Warszawa i większa część senatu wyszła na spotkanie bohatera.

Cóż to za śliczny był widok: Wielki hetman przywoził z sobą chorągwie zdobyte na Turkach pod Chocimem, aby złożyć je nowo obranemu królowi, a wśród zbrojnego i świetnego jego orszaku, znajdował się także hufiec janczarów (3), którzy teraz byli żołnierzami Sobieskiego i jego obrońcami. Dzika, a dźwięczna ich muzyka azyatycka była dla Warszawian nowością, którzy zewsząd cisnęli się, aby ujrzeć Turków, a zarazem nacieszyć się widokiem Sobieskiego. Podobny orszak prowadził za sobą Napoleon I, będzie temu lat przeszło 60, gdy wjeżdżał do Paryża.

Teraz więc Sobieski zabrał miejsce wśród koła obradujących na polu elekcyjnem pod Wolą, bo tam zwykle od stu lat Polacy obierali sobie królów. Oprócz senatorów i posłów od ziem i województw, znajdowało się na tém polu do 60,000 szlachty, głosującej także na króla. Ale, jak wspomniano już wyżej, panowie obradujący nie mogli jakoś zgodzić się na wybór. Sobieski był także za obraniem Kondeusza, jako znakomitego wojownika. Kiedy więc tak zdania były rozdzielone, Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski, mąż znakomity zasługami i wymową, który się odznaczył także pod Chocimem, w te odezwał się słowa:

„Jest między nami mąż, któremu ocalenie Rzeczypospolitej po wielekroć jego radą i orężem dokonane, zjednało trwały szacunek pośród świata i u nas, jako największemu, najpierwszemu z synów Polski. Stawiąc go na czele naszem, uświęcimy dzieło jego sławy, szczęśliwi, że uczcić możemy jednym tytułem więcej resztę żywota, z którego ani jeden dzień nie upłynął, coby nie należał do Rzeczypospolitej. Wiemy, że taki król potrafi utrzymać naród nasz na stopniu jaki zajmuje u świata; ten nie uczyni nas pastwą cudzoziemców, sam nie będzie hołdownikiem niewiernych. Polacy! jeżeli potęga nasza urosła, jeżeli swobody nasze trwają bez szkody, jeżeli nawet posiadamy ojczyznę, i komuż to winniśmy. Wspomnijcie na cuda waleczności pod Słobodyszczem, Podhajcami, Chocimem (4), i weźcie Jana Sobieskiego za króla.“

Długie oklaski okryły te słowa Jabłonowskiego, jeden tylko głos podniósł się przeciwko niemu, był to głos samego Sobieskiego, który dla dobra ojczyzny zalecał wybrać Wielkiego Kondeusza. Lecz gdy nanowo podniosły głosy za Sobieskim, województwa Ruskie, Krakowskie, Podlaskie, wkrótce zewsząd dał się słyszeć jeden tylko okrzyk: „niech żyje król Jan, zwycięzca z pod Chocima.“ więc dnia 21 Maja Sobieski pod imieniem Jana III królem Polskim został ogłoszony.

Zaraz tedy z pola elekcyjnego z pod Woli, prymas, senatorowie, posłowie, nowo obrany król, oraz tłumy szlachty i ludu, ruszyły do Fary, dla podziękowania Bogu za dokonany obiór króla, odśpiewano Te Deum, i już radzono tylko, kiedy się ma odbyć koronacya. Ale Sobieski prosił usilnie, aby obrzęd koronacyi odłożyć, a to dlatego, że na to potrzeba było i niemało pieniędzy i nie mało czasu, a to wszystko było potrzebniejsze teraz na wojnę z Turkiem, co nanowo groził Polsce. Piękna to była ofiara ze strony Sobieskiego. Inny na jego miejscu, radby się był jak najrychlej koronować, aby się popisać z nowem dostojeństwem i władzą, ale mężnemu, a prawdziwie kochającemu ojczyznę Sobieskiemu szło więcej o bezpieczeństwo i szczęście Polski, niż tam o marne parady i okazałości, niż o władzę rządzenia.

Cieszono się też powszechnie z takiego postanowienia króla, a sejm elekcyjny wdzięczny za to, oświadczył, że panowanie Sobieskiego zaczynać się miało od dnia ogłoszenia, a nie tak jak zwykle bywało, od dnia koronacyi.

---

(3) Janczarowie była to gwardya Sułtana, sam wybór wojska tureckiego.

(4) Miejsca gdzie Sobieski pogromił Turków i Tatarów.

Że to właśnie wkrótce przypadł dzień imienin Sobieskiego, d. 24 Czerwca, Ś. Jana, cała ludność Warszawy obchodziła go z własnéj chęci radośnie i wesoło, a wszyscy posłowie zagraniczni złożyli w dniu tym królowi polskiemu wspaniałe podarunki, w imieniu swoich monarchów. Posłaniec Hana Tatarskiego czołem uderzył u podnóżka tronu, zapewniając, że jego pan starać się będzie zasłużyć na względy tak wielkiego mocarza. Z zadziwieniem wszyscy słuchali, jak król nasz odpowiadał posłom z kolei, to po turecku, to po francuzku, to po włosku, to po angielsku lub po niemiecku.

Niebawem wyruszył Sobieski ku Lwowu, bo tam liczne zastępy Turków przeszedłszy Dniestr, zbliżać się zaczęły. Historya opisuje obszernie to, co tam wtedy Sobieski zdziałał. W przeciągu kilku miesięcy oswobodził Lwów i Trembowlę od strasznego nieprzyjaciela, pozdobywał zamki utracone na Podolu i Ukrainie, i dopiero w końcu Stycznia 1676 zjechał do Krakowa, gdzie dnia 2 Lutego w sam dzień N. Panny gromnicznéj, odbył koronacyję wraz z małżonką swoją piękną Maryją Kazimirą.

Jakiż to dzień radośny był dla Krakowa, ba i dla całéj Polski, gdy ukoronowany król ukazał się ludowi. Wszystkie stany witały go ze szczerą nadzieją, że po tylu latach klęsk i upadku w znaczeniu Rzeczypospolitéj, przywróci jej dawne świetne i pełne potęgi czasy. Miło było wszystkim patrzyć w to oblicze pełne szlachetności i rozumu,— a co to za postać była wspaniała i ujmująca, co nakazując uszanowanie przed godnością, dostojeństwem i cnotami, pociągała jednak sama uprzejmością i dobrocią.

I nie zawiódł dzielny Sobieski nadziei narodu, mężne jego ramie nie tylko ojczyznie własnéj spokojność zapewniło ale i sąsiadów potrafiło od zguby ocalić.

Zaszczytny pokój pod Żurawnem, jaki uzyskał od Turków, wkrótce po swojéj koronacyi, zjednał mu nową wdzięczność nietylko Polski ale i innych krajów chrześcijańskich. Ugodą bowiem w Żurawnie, Sobieski to uzyskał, o co Europa nadaremnie długo się starała. Oto wymógł na Turkach, że zakonnicy katoliccy objęli straż grobu Chrystusa Pana w Jerozolimie i innych miejsc świętych w Betleem, a co dotąd było w rękach niewiernych.

Najgłośniejszym jednak był tryumf Sobieskiego pod Wiedniem, gdzie ze szczętem zniósł wojska bisurmańskie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

NAD PILICĄ.

(POWIEŚĆ)

—

Pięknaż to ziemia nad Pilicą! Czarna, pulchna i tłusta, że złotem jej nie przepłaci, bo plon jej na wagę złota iść może. I spojrzeć aż miło, po tych błoniach szerokich, po tych lasach zielonych, i po tej czystej Pilicy, co się jak wstęga wśród tego wszystkiego przewija.

Oj ziemia piękna! niebo jasne, woda przejrzysta, i powietrze czyste. A ludzie? Jak ludzie. Są źli i dobrzy, i dola u nich jak to ludzka dola, złe z dobrem się plecie, według tego jak sobie sami nagotują, i jak Bóg pobłogosławić raczy.

Znało się w tamtej stronie ludzi kilkoro, wiedziało się trochę o ich doli, wspomina to dziś wszystko człowiek zdaleka, wspomina z żałością i z pociechą, bo los gdzieindziej rzucił, tam cząstka serca została, więc może z tego wspomnienia złoży się wam na dzisiaj, powiastka.

Wśród rozłogów czarnej ziemi i ciemnej zieleni lasów i jasnej łąk zieleni, bieleje miasteczko. Domki jego drewniane, nie wiele od wiejskich chat różne, i w dnie powszednie całe też nie wiele inaczej od wioski wygląda, w święta i niedziele dopiero, miejskie znać w niem życie. Ze starej pochylonej dzwonnicy, rozlega się głos dzwonów, po bruku turkocząą koła powozów, bryczek, wózków. Mieszczanie w długich kapotach, poważnym krokiem zdążają do kościoła, lub kupią się w gromadki na ulicy. Mieszczki w czepkach z kolorowemi wstęgami, w jasnych chustkach, po nabożeństwie zasiadają na progach domów, z dziećmi u piersi, albo na ręku. Dziewczęta w świeżych sukniach, z kwiatami we włosach, trzymając w ręku białe trochę przyniebieszczone chustki, przechadzają się po rynku. I wtedy żyje, rusza się miasteczko.

W dzień zaś powszedni, po wezwaniu na mszę poranną milczą dzwony, cicha uliczka prowadzi do pustego rynku, odgłos kroków,

nie rozlega się po kamieniach, drzwi zaryglowane i okna zamknięte. Życie przenosi się na drugą stronę domków.

W polu wypukłe zagony czarnej ziemi, głębokiemi bruzdami przecięte, nachylają się ku rzece. Mężczyzni złożywszy świąteczne kapoty, poganiają woły u pługa. Kobiety pochowawszy w skrzynie niedzielne stroje, zawiązawszy od słońca fartuchy na głowie, pochylone na zagonach, sadzą lub zbierają zielone ogórki, wyrywają cebulę, której główki różowe, ogromnej tutaj dochodzą wielkości. U brzegu Pilicy, sobotnim wieczorem rozlegają się uderzenia kijanek, śpiewy i pluskania, a za Pilicą znów ciągną się błonia szerokie, i lasy ciemnieją, a niebieskawe dymy unosząc się nad chatami, rozpływają się w czystem powietrzu, lub łączą w górze z modremi obłokami.

Przed laty, właścicielem jednego z najporządniejszych domków miasteczka był Kacper Sitko, od sąsiadów bogaczem zwany. I nie darmo włóka czarnoziemu, kilka sztuk dobrze utrzymywanego inwentarza, zabudowania całe i sprzęty gospodarskie porządne, tłomaczyły to przezwisko. Wszystko tedy to było, szczęścia jakoś nie było. A gdzież może być szczęście przy złej żonie? Toć dawno najmędrszy z królów powiedział: „Lepiej mieszkać ze lwem srogim, niż z gniewliwą i swarliwą niewiastą.“ Niewiasta tedy, którą pojął Kacper w młodych latach swoich, zatruła mu życie. Ni pociechy w jej sercu, ni pomocy w jej pracy, ni ładu w powszednich zachodach, ni pokoju w święto, nie znajdował mąż nieszczęśliwy. Cichy, kochający, nieśmiały, rad był przylgnąć duszą do kogo, tymczasem żona zrażała poczciwe jego serce. Dwaj synowie przez taką matkę chowani, im bardziej rośli, tém bardziej ojcem pomiatać się uczyli, obcy ludzi śmieli się z potulnego męża i bogacz czuł się samotnym, opuszczonym, sierotą. Skarżył się czasem przed Bogiem w kościele, zresztą milczał, pracował za żonę i synów, unikał ludzi, i całą jego uciechą było w pogodne wieczory, wychodzić na zielony brzeg Pilicy, słuchać dalekich głosów, co echem do uszów jego dochodziły, i patrzeć na gwiazdy zawieszone wysoko na niebie, a odbite na dole w rzece.

I tak mu życie mijało, zgryzoty zaś i zmartwienia, przed czasem zbliżyły go ku starości. Bo choć czwarty krzyżyk dopiero połowy dochodził, włosy pobielały mu na skroniach, pochyliła się postać wysoka, oczy wpadły głęboko, rzadko je podnosił na ludzi, to też ludzie obojętni i roztargnieni, nie widzieli nawet ile to w tych oczach było poczciwości, ile dobroci, i ile tęsknoty za ludzkiem kochaniem. Synowie wyrostki poszli między ludzi, ale żaden się niezapytał o ojcowską wolę, i na dobre żadnego uczciwego stanu nie wybrał, każdy jakoby na zabawkę coraz czego nowego probował. Starszy Franciszek nawłóczywszy się po mniejszych i większych miasteczkach, uczył się teraz niby u miejscowego kowala, ale mu bardziéj było w głowie baraszkowanie jak rzemiosło. Młodszy Antoni, ulubieniec matki trzeci już rok wybierał się do terminu i wybrać się nie mógł, wylegiwał się tylko w domu, albo w polu na miedzy, chodził z wędką nad Pilicą, zastawiał sidła na wróble i tyle było jego roboty. Oglądali się też obadwa na ojcowskie bogactwa, a w leniwych duszach, w sercach gdzie nie było ani miłości Bożej, ani poszanowania dla ojców, lęgło się coraz brzydsze robactwo chciwości, zazdrości i wszelakiej złej żądzy.

Tymczasem na Kacprowę przyszła ciężka choroba, w jesieni jakoś położyła się i nie wstała więcéj. Mąż nieodstępował jej na chwilę, służył, doglądał; synów trudno było zwabić do łóżka. Nie miała też tej pociechy, żeby pożegnać się z niemi. Kiedy umierała, Franciszek właśnie po żelazo przez majstra wysłany, wałęsał się, łobuzował za stodołami miejskiemi, Antoni leżał pod gruszą w polu i upatrywał w gałęziach gniazd ptasich. Na pogrzebie przecież wzruszyło się aby na chwilę serce młodszego, zapłakał u grobu, lecz w prędce łzy otarł i bąki zbijał jak w przódy. Starszy nawet łzy nieuronił, tak już zakamieniałe miał serce. Wiatr jesienny suche liście otrząsł na mogiłę, wkrótce ją śnieg przypruszył, a gdy nadeszła znów wiosna, nikt kwiatka na grobie niezasadził i zniknął w bujnym chwaście.

W krótce Franciszkowi uprzykrzył się termin u kowala, poszedł na mularkę do fabryki, Antoniego wziął wuj młynarz na naukę, w pustym domu sam jeden Kacper pozostał. Serce ciągnęło go do ludzi, nieśmiałość od nich odpychała, po dawnemu chodził do ko-

ścioła na nabożeństwo i nad Pilicą na wieczorne przechadzki.

U sąsiadów na wychowaniu niby, a na prawdę w ciężkiéj służbie, była młoda sierota Anusia. Potulna, cicha, pracowita, smutna, nie wiele się wdawała z innemi dziewczętami, które krzywo patrzały na jéj ubogie sukienki, w kościele klękała zwykle na boku, modliła się gorąco, płakała często rzewnie, uważał ją nieraz Kacper, i jego serce skłaniało się ku sierocie. Jednéj niedzieli po nieszporach dzieci uparły się, żeby z niemi szła na łąkę, zaprowadziła je tedy, rozbiegły się za kwiatkami, ona siadła pod drzewiną i smutną jakąś piosneczkę śpiewać zaczeła. Kacper przechodził tamtędy, posłyszał i zatrzymał się obok dziewczęcia.

— Czemuż ty tak smutnie śpiewasz Anusiu?

— A bom sierota!

— Młodaś! świat jeszcze przed tobą, Bóg wie jaka dola cię czeka, gorzej staremu sierocie co go swoi opuścili, i nie ma już czego wyglądać na świecie.

I westchnął ciężko i zwiesił głowę, westchnęła także Anusia, i jakiś czas oboje niemówili.

Po chwili odezwał się Kacper i tyle tylko powiedział:

— Anusiu!

Mój Boże! jak to jedno powiedzenie do drugiego niepodobne. Na dziewczynę każdy wołał także: „Anusiu,“ wyraz ten, nie dziesięć nie dwadzieścia razy na dzień obijał się o uszy, i zdawało się jéj, że w tym wyrazie, niema nic prócz wołania i na wołanie odpowiadała. Teraz jak Kacper zawołał: „Anusiu,“ coś dziwnego jéj się zrobiło w sercu, nieodpowiedziała ani słóweczka, a łzy strumieniem trysnęły z oczu.

Czemu tak!

Bo Kacper zawołał na jej duszę, i dusza jéj to wołanie zrozumiała, bo w tem wołaniu była żałość, było kochanie, a ona też w sercu miała dużo żałości, co zbierała się oddawna i uczuła kochanie, które zbudziło się dopiero.

A jak kochanie jest w obu sercach, to już dalej jakoś się składa. Złożyło się tedy tak, że w kilka niedziel potém, Kacper wprowadził do swego domu Anusię, jako swoją żonę, a z nią miłość, pokój i szczęście wprowadził.

Gadali ludzie, jak ludzie zwyczajnie, że się dziewczyna na bogactwo starego ułakomiła, że go zdurzyła ze szczętem, i Bóg wie jeszcze co takiego. Tymczasem ani odrobiny prawdy w tem nie było. Anusia tylko w prostem sercu swojem usłyszała głos co na nią zawołał, że ona smutnej jego duszy jest potrzebna. Pokochała go jak męża i jak ojca.

Ani jej w głowie postała owa włóka gruntu, dobytek i sprzęty. A jeżeli w myśli widziała dom męża, to wtedy gdy obiecywała sobie, jak się będzie w nim krzątać, i ład utrzymywać, i ochędostwa pilnować.

Synowie wtedy byli daleko, nie dowiedzieli się aż później o tem, że ojciec się ożenił. Wygadywali, wyklinali nawet podobno, że aż zgroza brała, bo im chodziło o one dziedzictwo, co uszczuplone być mogło. Obrzydłe to są te serca, które robak chciwości i nienawiści toczy, obrzydłe! odwróćmy się od nich!

Do domku Kacpra, jakby słonko zajrzało, rozweseliło się wszystko, i było tej jasności i tego wesela... Boże mój! bardzo krótko, bo ledwie przez rok jeden. Po roku w kolebce kwiliło dzieciątko, a na łóżku leżały martwe zwłoki Anusi.

Oh z jakim bólem żegnał Kacper tę drogą trumnę, gdy ją spuszczano do dołu, tego wypowiedzieć trudno. Na co to i wypowiadać, czy to ból rzecz nowa? albo ludziom niewiadoma? Czy to jednemu przychodzi taka chwila, że serce się krwawi, gdy je odrywają od tych, do których przylgnęło? Nie każdy równie jednakowo kocha i boleje jednako. Wielką miłością kochał Kacper tę drugą żonę swoją i wielką ją też opłakiwał żałością. A że jak mógł odejmował się rozpaczy, to dla tego, że po Anusi został Staś sierotka, dziecina wątła, pozbawiona piersi matczynej, że lękał się zostawić je na łasce starszych, a niedobrych braci. Ile też było kochania w jego żałosnej duszy, to wszystko zlał teraz na to dzieciątko. Ale kto mu je wykarmi? Kto matkę zastąpi? Oj nie za wszystko starczy bogactwo, i nie wszystkiego kupić za pieniądze. Bogactwo to prawdziwe na ziemi, gdy człowiek ma takie serca, na które liczyć może w niedoli, do których odwołać się może w potrzebie.

Jedno jeszcze takie serce, miał Kacper na szerokiej ziemi. Za życia pierwszej jego żony, była u niej w służbie dziewucha wiejska Ja-

gusia. Swarliwa kobieta przewodziła nad nią, jak nad wszystkiemi w domu, popychała, szturchała, skąpiła jadła i nigdy pono dobrem nie udarowała słowem. Ujął się tam czasem za nią Kacper, i przemówił do niej łagodnie. Dziewucha poniewierana od gospodyni, w gospodarzu poczuła serce, poczuła sprawiedliwość i dobroć i czułość nad ludzką krzywdą, i byłaby już wtedy w ogień dla niego skoczyła. Od kilku lat poszła za mąż za owczarka z pobliskiej wsi, a wiele razy przyszła do kościoła w miasteczku, dowiadywała się o Kacprów oboje, bo w oddaleniu, to o złem zapomniała, a dobre pamiętała coraz lepiej, popłakała się na pogrzebie pierwszej jeszcze żony, a jak się też dowiedziała o śmierci Anusi i o dzieciątku malutkiem co po niej zostało, tak sobie rady dać nie mogła od wielkiego żalu. Takie to złote serce było u tej kobiety, i takie to serca Bóg wzywa na pociechę smutnym ludziom. Bo też Jagna nie na samym poprzestała płaczu, lecz obrządziwszy się co tchu w domu, wzięła na ręce dwumiesięczną swoją Rózię, którą karmiła, i pobiegła do miasteczka. W pierwszej izbie znanego sobie domku zastała jeszcze wystawione ciało. Przyklękła i duszą zmarłej polecić chciała Bogu w modlitwie, ale wnet zerwała się z klęczek, bo w alkierzu zakwiliło dzieciątko. Wzięła je wykąpała, spowiła i nakarmiła. Ojcu smutnemu niebo się otworzyło.

— Wzięłabyś je Jagusiu na mamki?

— A dyć po to, nie po co innego przyszłam.

— A czy twój na to zezwoli?

— Może się posroży z początku, ale zaczekam, to się i udobrucha.

— A dasz że ty aby radę dwojgu dzieciom przy piersi?

— Już się wy o to nie turbujcie, mówię że wezmę, to wezmę, a karmię jedno, to wykarmię i drugie.

I dwoje dzieci przyniosła do domu. Skrzywił się Michał mąż jej, a nawet się nasrożył, jak to przewidywała.

— Co ci tam nowego w głowę zajechało? Nie dosyć ci to chałupy i swoich dzieci pilnować, żeś jeszcze na cudze taka chciwa.

— A i cóż ci w tem za krzywda?

— Krzywda, bo chcę żebyś patrzała swojego.

— Jak nie będę patrzyć, to wtedy będziesz gadał, a teraz mi nie turbuj głowy.

— Ale, nie turbuj, nie dość, że za swojem dzieciakiem niedośpisz, jeszcze będziesz wstawać do drugiego! Już ja mówię, że te baby to...

— Bobyś się też nie mieszał do babskich rzeczy, nie tobie tam garnków i pieluch patrzeć. Masz gotowe jadło to jedz, mnie kiedy w piersiach pokarmu starczy dla swego i dla sieroty, tobym chyba poganką była, żebym go nie wzięła. A o patrzaj! jak to śpi kruszyna. A toć spojrzyjże! Czy nie ładny?

Machnął ręką Michał, jął się łyżki i jadło zmiótł duchem, a kiedy wychodził do roboty stanął nad kolebką, gdzie Jagna oboje dzieci ułożyła, przypatrywał się obojgu, i choćby się był nie przyznał do tego, kochał Stasia codzień lepiej.

Jagusia wszystkiemu podołała, bo miała miłość w sercu i dobrą wolę. Dzieciny chowały się zdrowo. Latem w Niedzielę choć skwar dopiekał, brała oboje do kościoła, a Kacper radował się swoim Stasiem i płakał nad nim. W zimie po nabożeństwie szedł do Michałów, przyniósł zawsze co dzieciom, chuštał, pieścił oboje, w długie wieczory siadał na skrzynce w chałupie i opowiadał ciekawe historye, żo ich się i sam Michał nasłuchać nie mógł. Dwa i trzy lata minęło, i cztery i pięć wreszcie, a Michałowie sobie rok po roku wypraszali Stasia.

— A kto go wam tam dopilnuje, mówiła Jagna, toć go i tu widywać możecie, a w domu by wam zmarniał.

Rad nie rad musiał przystawać Kacper, bo i sam widział, że dziecku potrzeba serca i ręki poczciwej kobiety. Ale wreszcie Staś już szósty rok kończył, a Michałowi się też trafiało dobre miejsce za owczarza o kilka mil ztamtąd pod Mniszew, już nie nad Pilicą, ale nad Wisłą, trzeba się było pożegnać. Było płaczu nie mało przy tem żegnaniu, ale stało się, chłopiec powrócił do ojca, mamka z mężem przeniosła się nad Wisłę.

Rósł Stasio, a podobniuteńki był do matki. Takie same miał oczy niebieskie, i taki uśmiech za serce chwytający jak nieboszka Anusia, to też kochał go ojciec, kochał i starczyło mu to kochanie za wszystko na świecie. A starsi bracia ciągle naradzali się między sobą, bo im się ciągle zdawało, że ich ojciec dla ulubieńca swego na majątku pokrzywdzi i naradzali się, jakby się w tem zabezpieczyć,

a w tych naradach nie było słowa poszanowania dla ojca, ni miłości dla brata, była tylko nikczemna zazdrość i podła chciwość.

— Wiesz co? powiedział raz Antoni, trzeba na starego mieć oko. Wróć ty się do miasteczka, latem to i tam mularkę znajdziesz, a jak kichnie bez nas i testamentem wszystko temu bębnowi zapisze, to i rady potém nie będzie.

Spodobała się ta mowa starszemu bratu i wrócił do miasteczka, ale nieodwołał się do ojcowskiego serca, nie zamieszkał pod rodzicielskim dachem, rzadko nawet zaglądał do ojca, a tylko szpiegował zdaleka, wzrastał w nienawiść do niewinnego dziecka, i nienawiścią tą z bratem się dzielił.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Różności.

Ksiądz Morgensztern.— Piszą do Gazety Rolniczéj z Galicyi. „Przed kilku laty, ksiądz Morgensztern objął parafię Oporyszew w Tarnowskiem. Lud zadziczały, zepsuty, nie widzący nigdy jak słowa kapłana popierane są czynem, z niewiarą słuchał kazań swego proboszcza, lekceważył je, posądzając Ks. Morgenszterna o spółkę ze swoimi nieprzyjaciołmi, za jakich niesłusznie uważał swoich panów. Zacny kapłan niezraził się jednak niepowodzeniem pierwszych swych kroków, nie założył rąk wyrzekając na skatwardziałość ludzi. Przeciwnie, widząc mały skutek słowa z kazalnicy, zbliżył się do swych ubogich parafian, a zaczął od tych, którzy najwięcéj potrzebują, od ubogich i chorych, od nieszczęśliwych, których cieszył pomocą, radą, współczuciem. Pozyskał sobie następnie dzieci, rozświeceniem w ich główkach prawd religii, nauki czytania, wiadomości o Polsce i jej historyi. Przez cierpiących i niewinne dziatki doszedł do serc niezepsutych jeszcze, a każdę owieczkę powracającą umiał wyróżnić, przywiązać do siebie. Nie wstydził się obcować z ubogiemi, napracowaną twardą dłoń uściskać, przy własnym stole posadzić. Nieraz widziano, jak na zwyczajowych u nas objadach w dnie odpustu, między szlachtą i księżmi zasadzono sędziwych gospodarzy wiejskich. Otoż ciągłą tą kilkoletnią nieodstręczającą się pracą, pozyskał ks. Morgensztern zaufanie, miłość swego ludu co najlepiej się wykazało, przez wybranie go posłem w roku przeszłym na sejm lwowski, jako reprezentanta od gmin wiejskich. Ufność zyskuje się tylko wytrwałą, długą pracą, czynem i ofiarą.

— *Nowy kościół w Grylewie.*— W Grylewie pod Wągrowcem w Poznańskiem, 19 Maja w roku zeszłym odbyła się miła dla chrześcijańskiego serca uroczystość, położenie i poświęcenie kamienia węgielnego, pod wznieść się mający kościół parafialny. Kościół ten buduje się kosztem p. Antoniny Grabowskiéj. Arcybiskup polecił dopełnienie obrzędu poświęcenia księdzu Muzolfowi, proboszczowi z Wągrowca, kanonikowi sławnéj Kollegiaty Kruszwickiéj, znanemu dobroczyńcy miasta Wągrowca, ojcu sierot. który 108,000 złp. oszczędnem życiem uzbieranych, na założenie domu ochrony i sierot, pod opieką sióstr miłosierdzia ofiarował. Uroczystości téj byli obecni licznie zgromadzeni parafianie i zdaleka przybyli pobożni. Budowlą kościola w stylu gotyckim, lekkim, jak modlitwa pobożnéj duszy, kieruje zdatny majster mularski i architekt p. Wiktor Stabrowski z Kcyni, który podał do niéj rysunek.

Towarzystwo w Golubiu rzemieślnicze.—W Gołubiu w powiecie Brodnickim w Prusach polskich zawiązało się towarzystwo rzemieślnicze dla miasta i okolicy, wraz z kassą pożyczkową. Celem Towarzystwa jest zakupywać surowy materyał, aby rzemieślnicy byli w stanie taniéj i lepiéj wyrabiać towary. Okoliczni obywatele chcąc przyjść w pomoc towarzystwu złożyli 1980 złp. a Towarzystwo rolnicze powiatu Brodnickiego nadesłało 1158 złp. i przyrzekło nadto zasilić kassę Towarzystwa jeszcze 600 złotemi. Przewodniczącym towarzystwa jest Dr. Kaczorowski.

— *Kassa dla rzemieślników w Łowiczu.*— W mieście Łowiczu jest szpital Sgo Tadeusza, oraz sala ochrony dla ubogich dzieci. Rada opiekuńcza, pod przewodnictwem księcia Zygmunta Radziwiłła, nie przestając na zapewnieniu opieki ubogim chorym, i wpływaniu na umoralnienie młodego pokolenia, powzięła zamiar przyjścia w pomoc niezamożnym i poczynającym rzemieślnikom w Łowiczu nękanym lichwą i niedostatkiem, i w tym celu utworzyla w roku przeszłym przy szpitalu z ofiar dobroczynnych fundusz wynoszący 3500 złp., z którego udzielane będą pożyczki rzemieślnikom bez różnicy wyznania, w kwotach drobnych nie przenoszących 200 złp. na przeciąg półrocza lub kwartału, z obowiązkiem zwrotu w ratach tygodniowych z procentem w stosunku 6% rocznie. Fundusz ten przez ciągły obrót i ofiary dobroczynnych osób, niezawodnie z czasem powiększy się i przyniesie ulgę biednym mieszkańcom.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12.— półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3.—miesięcznie złp. 1
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 13 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 4 Stycznia 1863 r.